

kła nie wyrzał, kto wymyślił ten Grotów przekłety!

— Przekłety nawet ze mną? — spojrzała Natalcia załotnie.

— Ach, z panią wszędzie dobrze, tylko ta podróż do tej przekłetej dziury bez hotelu, restauracji, no i ten brak koni.

— Jeśli pani musi jechać, spojrzał Bachmacki rozczerwionymi oczyma na Romcię, — musi się znaleźć sposób uchronienia pani od przykrości noclegu w polu.

— Dziękuję panu, — odpowiedziała zarumieniona, — wiem, że pan wszystko może.

— No, nie zawsze, — zaśmiał się Marski dwuznacznie, — bo czasem to wszystko zależy od dwóch osób.

— Święta prawda! — uśmiechnął się Bachmacki, — wracając jednak do podróży, sądzę, że Lolek mógłby się poświęcić i wyjechać dziś w nocy do Grotowa, ażeby dom i konie dla nas przygotować.

— Tak, to wybornie! — zaśmiała się uradowana Romcia, — wiedziałam, że pan Bolek poradzi dobrze.

— Jak dla kogo, — rzekł Niedzicki z uśmiechem złośliwym; — nie rozumiem, dlaczego właśnie ja mam się poświęcić, a nie Bolek, który podał ten projekt. Jedź ty, kochanku, a my wszyscy będziemy ci bardzo wdzięczni.

— Nie, Lolku, ktoś projektuje, a drugi wykonuje, tak zawsze było i będzie, — uśmiechnął się Bachmacki, — w życiu musi być podział pracy.

— Ja nie myślę jechać, — rzekł Niedzicki, patrząc na zegarek, — pociąg do Grotowa odchodzi za dwie godziny, a jutro muszę załatwić przed wyjazdem ważną sprawę.

— Ja cię wyręcę, — zaproponował Bachmacki.

— Nie! Nie jadę!... Może jednak pojechać Marski, urlop ma i nic mu nie przeszkadza.

— O, przepraszam! — zawołał Marski, — nie mam wcale urlopu od wyższej instancji, aniżeli mój pryncypał, bo od mojej żony.

— Obrzydliwy wybieg! — śmiał się Bachmacki, — nigdy nie mówisz o tym urlopie, gdy grasz w karty, lub gdy grywasz maryasza z piękną panią, a teraz, gdy możesz nam wszystkim się przysłużyć, wysuwasz straszaka z gutaperki... swoją żonę.

— Zupełnie fałszywie mnie sądzisz, — bronił się Marski, — zawsze tak się urządzam, że żona jest o mnie spokojna, wie, gdzie idę i kiedy przypuszczalnie wrócę. Zaś taki nagły wyjazd w nocy, gdy uprzedziłem ją, że rano jadę szukać mieszkania, przerazi ją, zaniepokoi, może mnie podejrzewać i wreszcie rozchoruje się, a przynasz, że chora żona to naprawdę wielka bolączka.

— No, no! — zaśmiał się Niedzicki, — prawdziwy kupiec z ciebie, umiesz wściekle blagować z pozorami niewinności uciśnionej, a swoją drogą zabłaguj porządnie przed żoną i jedź!

— Jeśli pan Julek mówi, że nie może, to na pewno tak jest, — pospieszyła z pomocą Marskiemu pani Stasia.

— Wiecie co, — rzekł po namyśle Bachmacki, — prawdę mówiąc żadnemu z nas nie chce się jechać, więc niech los rozstrzyga. Zgoda?

— Hm... a jeśli na mnie padnie? — wahał się Marski.

— To pojedziesz, od tego słowo, — powiedział Bachmacki.

— Ano, trudno, — westchnął Niedzicki, — niech los rozstrzyga! Pani Natalcia robi węzelek, a kto wyciągnie, ten jedzie.

— O, przepraszam! — zawołał Bachmacki, — żadnych węzelskich, to los z góry rozstrzygnięty!

— Czy pan myśli, że oszukuję? — zarumieniła się Natalcia.

— Nie myślę, — zaśmiał się, — ale jestem pewny tego. Pani nie z rozmysłu, ale mimowolnie zdradzi Lolkowi oczyma, który jest węzelek.

— To impertynencya! — rzekła obrażona.

— Nie, pani, to prawda, i ja projektuję inny sposób. Pani Romcia wybiera z nowej talii trzy karty; dwie czerwone, jedną czarną, naprzykład dwa kara i pik; rzuca w oczach wszystkich do kapelusza, pani Natalcia miesza karty w kapeluszu, a pani Stasia wyciąga los.

Ponieważ obdzielił wszystkie trzy kobiety rolami, zgodziły się na podany sposób losowania, a Bachmacki dzwoniąc na garsona mówił:

— Wybranemu przez los należy osłodzić ostatnie chwile skazańca, i wypijemy jego zdrowie szampanem.

Garson przyniósł talię kart i wino, i według przyjętego planu, Romcia wybrała trzy karty

i rzuciła do kapelusza; pani Natalcia pomieszała, a Stasia odwróciwszy oczy od kapelusza nakrytego serwetą wybierała. W chwili gdy nakrywano kapelusz, zdążyła jednak Stasia zauważyć czerwoną kartę leżącą z boku i tę zachowała dla Marskiego.

— Kto pierwszy? — spytała, kładąc rękę w kapelusz.

— Dla mnie ciągnie pani pierwszą kartę, — zawołał Niedzicki.

Wyciągnęła kartę i położyła na stole.

— Czerwona, — krzyknął ucieszony.

— Ja drugi! — rzekł Marski.

— Czerwona!

— Może pani sobie oszczędzić ciągnięcia, — powiedział Bachmacki z ukłonem, — na mnie padł los. Jadę!

— Odprowadzimy cię na kolej z paniami, — pocieszał go Niedzicki.

— Bardzo chętnie poszłabym, ale nie mogę, to zbyt późno dla mnie, — odezwała się Romcia.

— Otóż zapłać za twe poświęcenie, — zadrwił Marski.

— Pan wie, że nie mogę, — spojrzała czule na Bachmackiego.

— Tu nie! ale za to w Grotowie, — uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Tam, co innego! — zarumieniła się.

— I ja nie mogę iść na dworzec, — rzekła Stasia, — mąż czeka na mnie.

— Dziękuję paniom i wam za dobre chęci, ale wyjadę sam, bo muszę jeszcze wstąpić do domu i spakować rzeczy.

— Tylko się pan nie spóźnij, — upomniała Natalcia, — i nie zapomnij pan wysłać konie po nas.

— Czy jestem podobny do pani, ażeby miał zapomnieć? — zaśmiał się.

— O, jesteś brzydszy, nawet o wiele, wiele brzydszy! — zażartował Niedzicki.

— Czy naprawdę, pani Romciu? — spytał Bachmacki.

— Nie wiem, — zapłonila się.

VIII.

Pociąg w kierunku Grotowa odchodzi o godzinie dziesiątej rano.

W czasie normalnej ilości podróży panuje, jak wszystkim wiadomo, na jaki kwadrans przed odejściem pociągu hałas; gwałt; krzyki; nawoływania; potrącania; płaczliwe pytania; surowe odpowiedzi; delikatne prośby; szorstkie odprawienia; a wśród tego tłoku i krzyżujących się interesów, majestatycznie spokojnym jest urzędnik, widoczny po czerwonej czapce, wyprawiający pociąg; pogodny komisarz policyjny rzucający błyskawiczne, badawcze spojrzenia; konduktorzy zachowujący godną podziwu równowagę, i mają zawsze na zawołanie despotyczne wskazówki dla podróży; wreszcie zobojętniali posługacze, nazwani z polską po niemiecku: „pakierami“.

Jeśli tedy w normalnych czasach przeciętny człowiek widząc te gwałtowne ruchy, nagłą bieżącą, popychania, potrącania, z towarzyszącymi krzykami, może nabawić się rozdrażnienia nerwów, cóż dopiero, gdy nastaje na dworcu sezon przyjazdu Królewaków i gości galicyjskich do zdrojowisk i miejsc letnich wyczasów.

Nic też dziwnego, że trzy panie wraz z cicią Walercią, dwojgiem dzieci i trzema sługami, nieprzyzwyczajone do tych porządków kolejowych, oszołomione i przerażone tym chaosem, skupiły się jak owieczki przy kawałku ściany na peronie, obstawiając siebie w bezwiednej obronie całym waleń podręcznych pakunków, każda bowiem szanująca się kobieta, jadąc koleją, posiada co najmniej trzy pakunki ręczne, nie licząc torebki, parasolki, żakietu, szala, pledu, chustki jedwabnej i torebki z zapasami do jedzenia, zaś młodsze i ładniejsze mają dodatkowo cukry, owoce i kwiaty.

Wszystkie trzy panie były rozdrażnione i bardzo niespokojne, ale już najbardziej Natalcia, której mąż zapowiedział, siedząc już w dorożce, zrobienie niespodzianki w podróży. Już w mieszkaniu zauważyła niezwykle zachowanie męża, który czule pożegnał się z Mimusem i polecił go gorąco uwadze dziewczyny, mającej przyjechać we dwa dni później do Grotowa ze suknią pani dotychczas niegotową. Z nią i z Irenką wcale się nie żegnał w mieszkaniu, ani też wygłosił uwag, ażeby strzegła się złodziei i przygodnych znajomości z mężczyznami.

W dorożce, czyli tak zwanym po krakowsku

„fiakrze“, mąż miał minę tajemniczą i mimo próśb i nalegań, ażeby powiedział coś o gatunku niespodzianki, wykręcał się ogólnikami. Naprawdę Szabelski obawiał się gniewu żony, gdy dowie się, iż on ma jej towarzyszyć, i będzie to uważała za brak zaufania i traktowanie jej jako osoby lekkomyślnej i upośledzonej. Ułożył się też z Wineckim i Orszyckim, że oni obydwaj namówią go przy żonie i zmuszą do towarzyszenia jej do Grotowa.

Natalcia śledziła też bacznie swego męża, który wraz z Wineckim i Orszyckim szukał wygodniejszego miejsca po wagonach.

Widziała jak chodzili od jednego konduktora do drugiego; jak naradzali się z posługaczami, jak przebiegali od lokomotywy do ostatnich wagonów i stawali bezradni.

W oddali mignęły jej sylwetki Niedzickiego i Marskiego, ale natychmiast gdzieś zniknęli w tłumie.

Nareszcie trzej panowie udali się do pana z czerwoną czapką, ten słuchał ich przez krótką chwilę, zawołał konduktora i wydał rozkaz, który widocznie zadowolili panów, gdyż po opatrzeniu wagonu, wrócili do swych żon.

— Powiadam ci duszko, że tak pełno w wagonach jakby natłoczył kapusty. Mysz nie zmieściłaby się, — upewniał Szabelski.

— To, panie tego, wszystko przez tych przybłędów Królewaków, — rozwodził się Orszycki, — najeżdżają nas, tłoczą się, i co lepsze miejsca, wszędzie oni.

— A tak, separaiki dla nich, wagony dla nich, — narzekał Winecki, — gdzie tylko spojrzeć, wszędzie napis: „bestell“, a niechże dyabli wezmą takie porządki!

— Mężu, ostatecznie miejsce jest, czy nie, — spytała Natalcia surowo.

— Jest duszko, jest! Separatka, sam pan nacelnik kazał dać na dziesięć osób.

— Jakto na dziesięć? Nas jest razem z dziećmi dziewięć, — policzyła Natalcia.

— Ale, bo to widzisz, — bąkał zmieszany, — właśnie postanowiliśmy... to jest oni postanowili, — spojrzał na Wineckiego i Orszyckiego, — ażeby dla wygody... co? czy nie tak? — zwrócił się do dwóch panów.

— Otóż to, — zaczął z powagą Orszycki, — już w piśmie świętem stoi, że źle samej kobiecie, więc Pan Bóg...

— Przepraszam pana, — zawołała piskliwym lekko skrzeczącym głosem cicia Walercia, niska, zasuszona panna, z cerą ziemistą, — pan nie zna słów pisma świętego...

— Pociąg odejdzie, — zawołała energicznie Natalcia, — mów, o co idzie?

— Do odejścia pociągu mamy piętnaście minut, — rzekł Winecki.

— O, przepraszam, dziesięć! — sprzeciwił się Orszycki, — mój zegarek nie chybia o sekundę nawet.

— Ferdziu, prowadź Irenusie, mam ręce zajęte!

— Zaraz... no, gadajcie! — patrzył chmurny i zniecierpliwiony na przyjaciół.

— Uradziliśmy, — rzekł rezolutnie Winecki, — ażeby radca Szabelski odprowadził panie do Grotowa. Boże broń wypadku, a tu, panie, same kobiety i dzieci.

Natalcia i Stasia osłupiały, zaś Romcia zadowolona, że Bachmacki nie będzie w pociągu, patrzyła na przyjaciółki bardzo zadowolona.

Nareszcie oprzytomniała Natalcia i zawołała z nieklamany żalem:

— Więc to była ta niespodzianka, Ferdziu, i dlaczego mi nie powiedziałaś? Czyż byłabym ci broniła?... Teraz, to chyba ja zostanę, bo któż załatwi mi moje sprawunki?

— Natalciu, jutro w południe wrócę do Krakowa i wszystko zrobię, co mi poleciłaś, a za dwa dni wraz z twoją suknią odeślę ci do Grotowa.

— Nie! Nie chcę... zostanę w Krakowie.

— Ale słowo ci daję, że odbierzesz wszystko w porządku, a wiesz, że słowa dotrzymuję.

— Nie pojedę! — upierała się, mając przed oczyma obraz spóskania się męża z Niedzickim w wagonie.

— Chyba, że pani ma coś do ukrywania w podróży, — uśmiechnął się złośliwie Winecki, — bo żona tylko cieszyć się może, gdy mąż jej towarzyszy.

— Nic nie mam do ukrywania, — zaczerwieniła się.

(Ciąg dalszy nastąpi).